

ILUSTROWANY TYGODNIK POLSKI

PISMO POŚWIĘCONE LITERATURZE I SZTUCE POD REDAKCYĄ
LUCYANA RYDLA I ART. KIEROWNICTWEM A. S. PROCAJŁOWICZA

R. I.

KRAKÓW 24 PAŹDZIERNIKA 1915

NR. 13.

Z ALBUMU LEGIONÓW.



W pochodzie.

Fot. T. Langer.

CZY JESTEŚMY PODZIELENI?

Utarło się zdanie, że jesteśmy narodem niesfornym, że każda organizacja musi się u nas rozpaść tuż po zjawieniu się i że nie umiemy zupełnie iść lawą.

Jest w tem trochę prawdy. Naród, pozbawiony od 120 lat bytu państwowego, nie może być tak spoistym, jak te organizmy, które czy chcą czy nie chcą, muszą w pewnych chwilach okazać cnoty organizacyjne. Bo tam, gdzie jest władza, która może zmusić obywatela, by czynił to samo, czego dokonywa jego przeciwnik partyjny, — tam o „jedność narodową“ łatwiej, niż w narodzie, który musi sobie jakieś „rządy moralne“, „dyktatury ducha“ itp. bożyszczą z trudem klecić. — W sprawach społecznych przyzwyczajenie jest olbrzymią siłą; nie tylko zastępuje ono nakaz moralny, ale go czasie wytwarza go.

Nie dziwny się więc bardzo, gdy widzimy, iż Niemcy, Francuzi, Anglicy, łatwiej jednoczą się i zapominają na chwilę o różnicach, które ich dzielą, — niż my. Dodajmy też, że żadnemu Niemcowi nie przejdzie przez głowę żądać, by to „palenie sztandarów partyjnych“ było stałym zjawiskiem. Przeciwnie, każdy z nich wie, że stronnictwa są koniecznością życia społecznego, byle one w pewnych chwilach były w stanie zdobyć się na wspólny wysiłek.

Czy jednak, uwzględniamy ten naturalny brak, który do pewnego stopnia musi być naszym udziałem, odpowiadamy potrzebom chwili? Czy nie jest właśnie faktem, że nie potrafiliśmy dziś, w najważniejszym może ustępie dziejów naszych, zdobyć się na jedną wspólną orientację, ale podzieliliśmy się na dwa wrogie obozy?

Otóż zdaje się, iż pod tym względem jesteśmy dotąd wszyscy pod hypnozą nieporozumienia, które kiedyś niem nie było, ale dzisiaj, z biegiem czasu, staje się coraz większym anachronizmem.

Rzeczywiście, długo ścierały się u nas dwie opinie i dwie, stąd wyrosłe, taktyki. Jedni pragnęli iść z państwami centralnemi, drudzy z Rosją. Pierwsi spodziewali się zwycięstwa nad Rosją i wyzwolenia zaboru rosyjskiego,

I chociaż wiemy, że pierwszy pogląd miał za sobą i doświadczenie dziejowe i znajomość Rosyi i wreszcie bliższą łączność

z najgłębszemi drgnieniami duszy narodowej, które dały Legiony, milionowe składki rzesz ludowych na walkę „z Moskałem“, zjednoczenie poważnej części narodu w postaci N. K. N., — jednak nie zaprzeczmy, że przez długi czas obiektywne warunki pchały (słusznie, czy nie słusznie, tego nie rozpatruje), ludzi to w jedną to w drugą stronę. Armie sprzymierzone raz podchodziły do Warszawy i Kraśnika, drugi raz — cofały się pod Kraków, a połączone z tem kolosalne wstrząśnienia nie mogły minąć bez wpływu.

Otóż dziś stwierdzić należy, iż te realne warunki znikły. Moskale wyparali są z całej Polski etnograficznej, a wypędzenie ich nawet z granic historycznej Polski przestało być marzeniem i dokonywa się w naszych dniach. Możemy więc rzec się wątpliwej zresztą przyjemności rozpatrywania stopnia uprawnienia programu obozu przeciwnego, gdyż przyszłość do nas należy.

A terazniejszość?

Otóż i tu sądzę, że należałoby zerwać raz z przyzwyczajeniami, które nakazują nam powtarzać bez końca i na wszystkie cztery strony świata powiastkę o dwóch orientacjach polskich. Albowiem już dziś powiastka ta przestała odpowiadać rzeczywistości. Weźmy taką Warszawę. Czyż tam można naprawdę mówić, już nie o partyi „moskalofilskiej“, ale choćby o jakimś poważnym prądzie ideowym, któryby spekulował na zwycięstwie czwórporozumienia? Nie, niczego podobnego tam nie ma.

Są różnice poglądów na metody postępowania, ale gdy ludzie sobie uświadomią, że różnice zasadnicze pomiędzy nimi znikły, to i w tej dziedzinie nie trudno będzie porozumieć się.

Co nam w byłym zaborze rosyjskim oczy zasłania, to fakt istnienia licznych grup, które powstały dzięki brakowi jawnego życia politycznego, gdzie wszystko kryło się, tam łatwo było zdolniejszym, lub czasem nawet tylko bardziej krzykliwym jednostkom zdobyć sobie w małym kółku posłuch. Ale nie trzeba do tego przywiązywać zbyt wielkiej wagi. Obok tych grup istnieją większe skupienia polityczne, kierunki ideowe, i te jedynie są miarodajne.

Oby jaknajprędzej ta tworząca się już jedność duchowa znalazła swój korelatyw w jedności organizacyjnej!

Dr. W. Jodko.





Teatr w Łazienkach.

EWA ŁUSKINA: EDYP I SFINKS.

PANTOMINA MUZYCZNA.

Na opustoszałej scenie Łazienkowskiego „teatru Króla Imci“ widowisko bez słów się przewija, symfonia jednej doby, bez widzów i bez słuchaczy.

Rzecz dzieje się tu i tam, na pierwszym planie, i w odległej perspektywie, na scenie, na wodzie, w powietrzu i w duszy ludzkiej.

Na lewo, tu, gdzie kamienne półkoliste stopnie schodzą w wodę, gdzie ten urwany złom korynckiej arkady, po za którą pustka i szarość przedporannej przewiewa godziny, stanął oparty o kolumny wędrowiec, Edyp młody. Niedbale wsparła się ręka na długiej lancy, ostrzem białej w ziemię, prosto i głęboko, jak ołowianka żeglarza, wtopił się wzrok jego w źrenice cudownego potwora, co na pierś mu skoczył potężnymi łapami zwierza. Gibkim łukiem wygina się ciało lwicy, ujęte w pół sznurem perel, zuchwale jaśnieje strzelista czara piersi i rysuje się bładny profil bosko-nieprzeniknionej twarzy kobiety w dyademie.

Sfinga czeka. Zadała zagadkę, a raczej sama jest zagadką. Jest wielką niewiadomą, jest przyszłością, która ma być odgadniętą i zwyciężoną. Niebaczną, przedwczesną, z młodzieńczą lekkomyślnością dana odpo-

wiedź i oto los przesądzony. Na ostatnim stopniu, nurrzającym się w czarnej fali, błednieje jeszcze stężała stopa — jednego ze strąconych.

Słowo jutra! Któż je odgadnąć mocen? I syn królewski jest tylko człowiekiem. Ale Edyp od węzów uczył się przezorności, zaprawił wargi swoje do milczenia i goryczy, wie, że czas jest wielkim sprzymierzeńcem, a milczenie do czasu — potęgą. Więc milczą i trwają w kamiennem zmaganiu się wzrokiem — Edyp i Sfinx ¹⁾

Ten obraz, ukazany kształtem prologu, rychło zasnuwa się cieniem.

Na wód drżące, perłowe zwierciadło pada pierwszy promień świtu, jak gałązka róż. Grecka jutrzienka o ciele efeba, o przejasnej głowie, w rozwianych jak burza promieniach, zgarnia ostatnie gwiazdy w szare rańtuchy mgieł, uchodząc przed rumakami blasku, których cztery jasne lby rysują się już na krańcu widnokregu, jak bładny ornament.

¹⁾ G. Moreau „Edyp i Sfinx“.

Ale zanim wbiegną na strop nieba, uprzedzi je spizowy dźwięk surmy bojowej, otrąbiony po wszech wodach i struchlałych ziemiach przez zjawionego na scenie wystannika beltony. Nad nim niebo jeszcze ciemne od skrzydeł nocy i chmur burzliwych, skłębionych, jak stado brunatnych niedźwiedzi. Ciężarna grozą chmura otwiera swe łono, wydaje płód potworny: ssaną przez gady, o żelaznych zębach, iuryę wojny.

kogóż to trzyma okropna wiedźma, kogo ujęła mocno za pas szeroki, chłopski, nabijany mosiądzem? Młody Achilles, porwany ręką wojny jawi się światu w blyskawicowym przeczuciu. Zmarszczony jak zagniewane pisklę orle, patrzy srogo z pod konopiastej czupryny, z jasnej, chłopięcej twarzy Bartków wiejskich i z całym rozmachem krzepkich ramion wznosi nad czołem miecz obrony i pomsty²⁾.

Przed tryumfalnym wjazdem słońca — wizya znikła. Upojona ziemia dyszy w ulewie światła. Rozprażone letnim żarem pole zarasta gęstwą lilii dzikich. Cisza południa. Z pomiędzy ułamków kolumn, z za ocalonej sciany zwałonej świątyni, na scenę wysuwa się pochód.

Idą młodzieńcy nadzy, w greckich nelmach, w bronzowych pasach, od których zwisają krótkie miecze. Zastępli nowego Leonidasa? Ci bojownicy niepodobni do olimpijskich szermierzy. Postaci chude, twarze przyciągle, gesty kanciaste, hieratyczne. Idą jeden za drugim, jak urzeczeni, krusząc łodygi lilii, zapamiętani w śnie dręczącym, nieubłagany. Niczem jest, że ten, który szedł na przodzie, wzdrygnął się, zakrywając ramieniem struchlałe oczy — przed urwaną pod stopami ziemią. Nie wstrzyma się on, ani tamci...³⁾.

Minęli — — — Majaczy w zmierzchu otwarta głęb parku, lecą żółtkle liście z drzew, zrywa się wichur jesienny, miecie tysiące wirujących płatków, skręca błędne koła i sieje, przesłaniając tumanem świat... A w tej zawierusze kształtów lecą wraz jakieś cienie blade, głową w dół, w sztywnym załamaniu gestów — bohaterów duchy...

Uciszyło się wszystko — park odarty stoi niemy i pusty. Steżala chłodem noc. Nagie, listopadowe różgi drzew, sterczą z obu stron alei, jak zastygłe w rozpacz ramiona. W głębi, w gwiazdnej pomroce ukazują się samotna postać kobieca w czarnych welonach, smułka i tajemnicza, jak zasłonią Irys. „Gdy wszystko żywe musi ledez — pod znakiem, który znaczy kres...” młoda Kora płonąca miłosnym rumieńcem pod żalobną czernią kwefu, unosi w fałdach swych zasłon tajemnicę nowego życia... Przeszła — a po jej zniknięciu jeno pustka i ciemność na długo przewiewa scenę⁴⁾.

O północy, nad czarne wody wschodzi Dyana, a jasna jej tarcza pruje srebrny szlak po toni. W okwitłych różach parku zamilkł dawno śpiew słowiczy, przecie fala z cicha dzwoni, dźwięk zatopiony trąca szklanne nurty... Po gładkim zwierciadle wód zbiegają królewskie łabędzie, wiążąc się w arabeski, podobne wieńcom kwiatów białych. Szara fala wzdyma się jak delfin i otwiera jak muszla, wylaniająca perlę — syrenę...

Bezbronna jest i beztroska jak dziecię, słodka jak woń róż, którym przyrównane jej rozkwitłe piersi, wabna jak melodia, co z nich płynie... Taką widzą ją i słyszą obcy żeglarze, wszorstcy i silni, współzawodnicy zuchwałych łowów. Wskakują do łodzi, wiosłując z wytężeniem, każdy żądny pochwycić wodnicę.

Już, już jej dosięgną!... Łabędzie śpiewną skargę rzu-

cają ku Dyanie — żywi, stojącej u zenitu. Bogini lotem strzały zniza się ku toni i tarczą nieskalaną osłania syrenę. W srebrnej bladości tarczy, jak w odbiciu ideału przemienia się wodnica. Powaga i tragiczna głębia, obleka jej rysy, które prześwieśla straszliwy żar ducha, kamienieją usta otwarte niemym krzykiem pokoleń, a z oczu bije tasama potęga, co zwycięską mocą uderzyła z źrenic Wandy, rusalczanej pani wawelskiej legendy⁵⁾.

Moc tajemna mięsza zmysły zuchwałych żeglarzy, że porwani szałem, uderzają na siebie mieczami. — Krótką, drapieżną walką przeciwnicy z przeszłą wzajem ostrym grotem piersią, upadają na dno łodzi...

Rozwiewa się błękitna gloria nad czołem syreny, tajny majestat co ją przepromieniał. Wodnicą jest znowu beztroską, pięknem radosnem. Wyzwolona, wysoka nuta wytryska z jej piersi, jak fontanna z pereł, i rozsypuje się po toni tysiącem słowiczych treli... Jedno pluśnięcie — syrena znika pod falą, rozpierzchają się wdzięczne ptaki — obrońcy, najeżdżca łódź przepływa unoszona prądem, a woda łabędzia śni dalej czarna i cicha.

Dyana prześlizguje się łukiem po niebieskim stropie i staje tam, gdzie w nocnej mgłę majaczy złom korynckiej arkady. Tam, gdzie półkoliste, kamienne stopnie grają się w fali, oparty o kolumny stoi wędrowiec, Edyp młody.

Jak olowianka żeglarza, zatopił się wzrok jego w źrenice cudownego potwora o ciele zwierza i bosko-nieprzeniknionej twarzy kobiety w dyademie.

Nim świt wszędzie nowy — milczą i trwają w kamiennem zmaganiu się wzrokiem — Edyp i Sfinx.

5) St. Wyspiański — „Legenda“.



parku Łazienkowski.

2) St. Wyspiański „Jutrzenka” „Inwokacya”

3) Rembowski „Pochód”

4) St. Wyspiański „Duchy bohaterów” — „Noc listopadowa”

HENRYK ZBIERZCHOWSKI: POLSKIEMU DZIECKU.

WIDZE TWA PŁWA GŁÓWKĘ W LAMPY BLASKU
I NIESPOKOJNĄ MODRYCH ÓCZ GONITWĘ.
NA TAFLI STOŁU WIELKA STACZASZ BITWĘ
WŚRÓD KASKAD ŚMIECHU I RĄCZEK OKLASKU

BAJECZNE HUFCE BLASZANYCH ŻOŁNIERZY
WYSYŁASZ DROBNĄ DŁONIĄ DO ATAKU.
MOŻE W TEJ CHWILI TWÓJ OJCIEC — CHŁOPAKU —
W ROWIE STRZELECKIM GDZIEŚ NA DESZCZU LEŻY.

Z MAŁYCH ARMATEK LECA KULE Z GROCHU.
BLASZANE KUKŁY UPADAJĄ Z BRZEKIEM.
MOŻE W TEJ CHWILI NOC WESTCHNEŁA JEKIEM
I KTOŚ TRAFIONY TWARZĄ LEŻY W PROCHU.

ŚMIEJE SIĘ SZCZĘŚCIEM DWOJE ÓCZ — MARZYDEŁ,
WIDZĄC FIGURKI STRZASKANE NA ĆWIERCI.
W ROGU POKOJU STANAŁ ANIOŁ ŚMIERCI,
RZUCA NA ŚCIANĘ CIEŃ SWYCH CZARNYCH SKRZYDEŁ.

BAW SIĘ I MŁODOŚĆ SWĄ HARTUJ CHŁOPAKU
WŚRÓD SZCZĘKU SZABLI I TĘTENTU PODKÓW,
ABYŚ SIĘ GODNYM STAŁ SWYCH DZIELNYCH PRZOD-
CUDNYCH HUSARZY PANCERNEGO ZNAKU. IKÓW

BAW SIĘ, NIM DOTKNIE CIĘ SWEMI SKRZYDŁAMI
ANIOŁ NIESZCZĘŚCIA I ŚWIEŻEJ ŻAŁOBY,
I NIM TWA MŁODOŚĆ, KROCZĄCA PRZEZ GROBY,
PIERWSZEJ UTRATY ZATRUJE SIĘ ŁZAMI.

NOŚ W SWOJEM SERCU T ŚWIĘTĄ SPUŚCIZNĘ
TO HASŁO DZIADÓW TWOICH BOHATERSKIE:
— „NAJWYŻSZYM ŻYCIEM JEST ŻYCIE ŻOŁNIERSKIE,
NAJSŁODSZĄ ŚMIERCIA JEST ŚMIERĆ ZA OJCZYZNĘ!” —

Wiedeń w październiku.

PRZEPowiednie HOENE-WROŃSKIEGO.

Gdy w r. 1851 Hoene Wroński publikował w Metz swój „Document secret sur la révélation, destinées providentielles des nations slaves et des destinées actuelles du monde“, ówczesne stosunki polityczne Europy mogły kształtować zarysy przyszłych, zapowiadających się już wojen, niemniej jednak, przepowiednie, zawarte w owym „Sekretnym dokumencie“, sięgają dalszych okresów urzeczywistnienia. Prawda, że na poglądy polityczno-społeczne Wrońskiego oddziaływały prądy współczesne, ale też jego wnioski z przesłanek dziejowych były przeważnie tak dalekie, że traktowane jako skutek, nawet w swych pierwszych ogniwach realizacji, w przeważnej mierze nie mogłyby wcześniej nastąpić. Tak np. współczesność tworzyła zasadę narodowości, Wroński przewidywał federację państw, współczesność rewidowała problemy moralne, by znaleźć dalsze wytyczne, Wroński głosił mesyanizm; współczesność zwracała się do zagadnień religii, Wroński dawał ludzkości nieśmiertelność, a Bogu podstawę bytu.

Zaznaczyć tu trzeba, że Wroński, kombinując przyszłe wypadki polityczne, kładł wagę na ich typ zasadniczy, a nie na charakter formalny. Stąd przy jego tezach w odniesieniu do faktów, analogie zewnętrzne czy ich brak mogą mieć także cechy przypadkowości.

Z temi zastrzeżeniami przypominają się dziś jego przepowiednie o wojnie europejskiej, jako zawierające pewne momenty, które na tle dzisiejszych wypadków stają się po części aktualnymi.

W „Sekretnym dokumencie“, napisanym na 2 lata przed jego ogłoszeniem, Wroński przepowiada wielką wojnę europejską. Przyczyna jej ma leżeć w zasadniczych różnicach stanu moralnego Europy, tworzącego wielkie zagadnienie ludzkości, a nie nadającego się do rozwiązania przez żadną władzę polityczną. Wojnę tę nazywa starciem Wschodu z Zachodem, jednakże nie w znaczeniu geograficznym, gdyż pojęciem Zachodu oznacza „dawny świat cywilizowany“, a pojęciem Wschodu — „cywilizowany świat nowy“. Ugrupowania stron w tem starciu — inne zresztą, niż były np. w woj-

nie krymskiej, a także inne niż dzisiaj — zdają się posiadać cechy raczej formalne, jako przejawy polityczne, mające tylko oscylować około zasadniczego typu, gdzie decydują posłannictwa narodów.

Ponieważ przeznaczeniem Niemiec i wogóle rasy germańskiej ma być — zdaniem Wrońskiego — ugruntowanie stałych podstaw wiedzy ludzkiej, więc reprezentować one będą partyę prawa ludzkiego.

A Polacy?

W przepowiedni Wrońskiego zachowanie się Polski wobec przyszłej wojny nie jest sprecyzowane. Wroński nie określa roli swym rodakom, zaznacza, że będą mieli wolny wybór, ale zwraca uwagę, że będzie to moment decydujący o losach Polski. Na ich decyzję oddziaływać będzie z jednej strony ich posłannictwo mesyaniczne, jeśli jeszcze nie uświadomione, więc bezwiednie, a dalej wpływy Rosyi — z drugiej własne aspiracje rewolucyjne, oraz zabiegi germańskie. Jeżeli Polacy przyłączą się do partyi prawa boskiego, to w toku

wojny odegrała zwycięską rolę nad Bałtykiem; jeśli oświadcza się za drugą stronę, to uzyskają niezależność, ale tylko chwilową, gdyż zasady partyi praw człowieka muszą doprowadzić do anarchii i przez to wydadzą Polskę na łup Rosyi.

Przypomnieć należy, że Wroński był przeciwnikiem rewolucyjności. Doktryny rewolucyjne uważał za degeneracyę zasad, a chociaż uznawał legalność powstania z r. 1831, jako niezaprzeczonego prawa władzy najwyższej, ostrzegał rodaków przed ruchami rewolucyjnymi i doradzał bierność polityczną w Rosyi, a w Austrii i Prusach, gdzie się swobodnie myśl rozwija, kultuwanie nowych prawd. A podobnie jak za bezcelowy uznawał występ rewolucyjny od dołu, taksamo podnosił bezcelowość ewentualnego zamiaru wyniszczenia narodowości polskiej, gdyż przy teraźniejszym stanie cywilizacji uważał to za zupełnie niemożliwe.

W przewidywanym konflikcie odegrać ma poważną rolę Austrija. Jej w historii przeznacza Wroński stworzenie federacji narodów słowiańskich, bo w niej te narody rzuciły i rozwijały pierwsze pojęcie panslawizmu, a dopiero później przywłaszczyła i dostosowała go sobie Rosya. Ten panslawizm zachodni kieruje się przeciw Rosyi, ma cywilizacyjnie i ilościowo zrównoważyć jej potęgę i jeśli Rosya nie zrezygnuje z rządów autokratycznych, to Polacy dla swych postulatów znajdą opiekę w Austrii oraz w Prusach.

Pomijamy bliższe szczegóły przepowiedni. Ich omówienie, wyjaśnienie motywów, zbadanie, czy nie realizują się fragmentami, wreszcie analiza różnic rzeczywistych czy pozornych w odniesieniu do chwili, nie

wchodzi w ramy niniejszych streszczeń. Dla uzupełnienia jednak dodać należy, że Wroński, w „Odezwie do rządu francuskiego” w r. 1849, ogłosił osobne przepowiednie o przyszłości politycznej Europy. Streszczają się one w siedmiu tezach. Między innymi zapowiada Wroński przywrócenie orężem wśród ludów romańskich i germańskich politycznej powagi prawa boskiego pod różnymi formami rządów konstytucyjnych, dalej utworzenie sojuszu rządów, opartego na wzajemności, przeciwko powstaniom ludów, oraz różne organizacye kontrakcyi ludów. Wreszcie zapowiada nową erę w ludzkości przez wystąpienie polityczne narodów słowiańskich i tutaj podkreśla alternatywę, że jeśli te narody zdołają oderwać się od państw, do których przynależą, wówczas pochlonie je Rosya.

Wartość przewidywań Wrońskiego określi kiedyś historia. Dziś, gdy w konwulsyjnych bólach narodów powstaje nowa era dziejów, zwracają uwagę i zastanawiają te przepowiednie, bo są to wyniki przemyśleń wielkiego filozofa, poczęte w nadludzkiem niemal wyczuciu wiekowych szarpań ludzkości za prawdą, wychodzone bezprzykładnem umiłowaniem jej zbawienia.

Wroński należy do przyszłości; jego odkryją dopiero przyszłe czasy, podobnie, jak dopiero przyszłość odkryje, czym jest obecna wojna w odniesieniu do zasad i zadań XX-go wieku i czym w stosunku do celu narodów. Wtedy dopiero będzie można ocenić, czy i w jakich rozmiarach jego wizye *mutatis mutandis* odnosiły się do chwili obecnej, czy też dopiero kiedyś później dojrzeją.

Jan Grzywiński.

Z OPOWIADAŃ LEGIONISTÓW.

W OKOPACH.

Światło białe wsacza się przez dwie szybki w suficie, jak w pracowni malarskiej na poddaszu. Solidna, z komfortem urządzona ziemianka. Cześć saperom, którzy tę stylową, mocno podstemplowaną, 4 m długą, 3 m szeroką izbę zbudowali! Trochę niska — trzeba leżeć pod belkowaniem z mocnych konarów sosnowych. Ściany słomianą matą wytapetowane o przedziwnie prostych złocistych deseniach. Pod oknem piecyk żelazny pierwszorzędnej jakości. Brak tylko drzwi, któreby otwór metra kwadratowego zabiły.

Oczywiście Oskar, który minuty nie może przeżyć beczynnym, żywy jak iskra, chłopak z inicjatywą i andrusowskim humorem, zapowiada szereg instalacji w naszym pałacu. Już wykonał kilka naprawek i trzy godziny z rzędu spędził przy piecu, bezlitośnie się pastwiąc nad nim i nad sobą. Rąbał drzewo mokre na drobne drzazgi i wsuwał coraz to nowe wiechcie słomy, aż ciepło — dziś boskie i rozkoszne — rozlało się wonnym kręgiem po ziemiance i zwarzył się obiad ukoronowany herbatą.

Właśnie się zbudził — godzina piąta popołudniu — ze słowami: „a cóżbyś pan powiedział, gdybyśmy tak poszli w pole?” — to znaczy, jako niewinny patrol ku rzece.

W izbie zimno, piec jak lód. Na okopach od rana wczesnego zbieśli się wicher; z wściekłością smaga pozycyę i poła deszczem i śniegiem, jęcząc na drutach i na węglach rowów naszych. Marzec spóźniony. Zimno. Strzały pojedyncze padają. W taką pogodę — chyba dla

rozgrzewki. Zmierzch mętny, ołowiany opada na szyby. Mrok. Myśli płyną sennym lotem. Marzymy głośno o morzu — wszyscy trzej go nie znamy — o południowym, słonecznym morzu. — O czym myśleli i mówili nasi poprzednicy w tym salonie, grzejąc się przy piecyku — najmilszej istocie na świecie?

Z zadumy budzi nas okrzyk: Kawa!

Nieboska szaruga marcowa. Zły wicher garściami śniegu pierze samotną w rowie straż. Jękiem i przeciągłym piekielnym pogwizdywaniem zawisa na drutach kolczastych. Zimny zmierzch falami mroku zalewa pozycyę.

Kawa! Przy kuchni wąż zmarzniętych, drżących postaci z kociołkami w rękach. Niecierpliwie czekają, aż ukończy się cicha ich rozmowa: najmłodszego i najstarszego żołnierza w kompanii.

Bydliński pod chochlę przysuwa menażkę, czarnymi oczami oszukuje, przymila się kucharzowi.

— Ależ już wzięliście swoją porcyę... — zgrzyliwie protestuje stary, nalewając drugą, wymierzoną, równą, bez uszczerbku.

— Nawet wypilem — dziękuję — wasze zdrowie, dziadku! — pije bezwstydnie przy kuchni drugą porcyę najstarszy żołnierz naszej kompanii. On jeden z ówczesną kompanią, czwartą 3 batalionu wyruszył do Królestwa pod por. Sarmatem-Szyszlowskim. Czarny Bydliński, lat 16, dzieciak z wzrostu i drobnego ciała, o twarzy już postarzalej, sprytnych, wesołych oczach. W postawie, ubraniu i gestach, stary wyga kompanijny. Rezolutny chłopak, mający w całej brygadzie znajomych bez liku. Do każdego potrafi przemówić. Gra

w karty z namiętnością, najczęściej przegrywa. Najwięcej czasu spędza koło kuchni, drocząc się z sierżantem prowiantowym i schlebując dziadkowi.

Dziadek nasz — najpocześniejsze stworzenie na świecie. Czort wie, czy niezdolność innej myśli, czy psie przywiązanie do kompanii, czy także żołnierskie spełnianie obowiązku — coś takiego jest barwą jego siwych oczu, mdłego rzadkiego uśmiechu. W słowach dobrotliwa opryskliwość, taka zwykła do wszystkich, jak do dzieci. Ani jednego słowa skargi lub zakłęcia. W czarnym już płaszczu, w brudnej czapie, wąsy żalobnie w dół opuszczone, czy w słońcu, czy w deszczu, zawsze z tym samym smutkiem w siwych oczach. Trzecią już dobę deszcz ze śniegiem pada. Dziadek stoi przy kuchni, jak najdzielniejszy żołnierz na warcie. Kucharz pierwszorzędny — wszak w Oleandrach gotował. Nazywa się Czarnecki.

Słońce. Po śnie żołnierskim, zdrowym, pełnia rzeźkości i sił. Stawisko Nidy pod okopami lśni. Skowronki wniebowzięte jęczą komuś hejnały.

— Lećcie w tem słońcu me myśli, moje uśmiechy, godziny zabawy i śpiewu. Pogłębiajmy okopy i konstrukcję myśli.

Tam oni na tyłach bawią się, mieszkają z komfortem — mój Boże —

Tak pięknie tu i dobrze. Piszę to w słońcu już nie wiosennem, wśród takiego, jedynego w polskie południe letnie, pobrzęku much. Rodzi się pragnienie zrobienia komuś dobrze, dać mu w ten sposób marny bodaj refleks (gruchnęła salwa artylerii rosyjskiej, którą nasza przed chwilą sprowokowała) tego piękna południowego i dobra. Kilka słów...

Przefrunęły niedaleko pociski naszej artylerii. W okamgnieniu pochowali się po rowach tak oni jak i nasi. Śród chłopców oburzenie na artylerzystów, nie mogących uszanować tej ciszy w dżungli, tej świętej, słonecznej ciszy. Nowe dwa granaty poszybowały, jęcząc, w stronę naszej baterii. Poleciały ze zgrzytem, jakby po stalowych skrętach szedł ich lot. W okopie sen południowy. Chłopcy po niszach, wnękach i ziemiankach.

Po południu, wzdłuż rowu, kędy szeregiem pracowaliśmy nad pogłębieniem pozycji, przeleciał szept: brygadyer na pozycji!

Szedł błady, pochylony, szybko — nie spojrzął na nas. Za nim komendant odcinka, oficer inspekcyjny i dwóch cywilów. Rząd wyprostowany jak struna z łopatami w ręce witał go. Rząd oczu młodych, żołnierskich, wpatrzonych w bladą twarz: w nich miłość, cicha dla wodza, cześć i bezgraniczne zaufanie.

W AWANGARDZIE.

(3 komp. III. *buonu I* brygady od 23 do 26 czerwca 1915 r.)

Wstał dzień słoneczny, upalny. Kilka godzin czekała kompania na rozkaz wymarszu. Aż nazbyt wiele czasu zostawało do spakowania sprzętu żołnierskiego. Inne kompanie przemaszcrowały już po prawej stronie ku

Kawalerya klusem popędziła naprzód. Wreszcie o 11.30 i myśmy ruszyli w kolumnie czwórkowej, w słońcu — w tumanach kurzu, co się zrywały z pod malej naszej kompanii po drogach sandomierskich.

Ponad batalion trzeci przeszedł do awangardy wraz z artylerją. Poprzedzali nas ułani. Z falą

plynących zbóż, poprzez kwieciste, słońcem rozsmiane łąki, polnemi drożynami — ich śladem, ku kolumnom dymu na widnokręgu. Niedaleko byli — dwie godziny zaledwie nas dzielily. Mijaliśmy gromadki jeńców, eskortowanych przez ułanów.



Obserwator.

Fot. St. Janowski

przygotowany do oporu: w murze cmentarnym strzelnice, w strzechach otwory, przed wsią rowy i paliki drutem kolczastym obciążone. Po godz. 10 rzucili wieś. Kompania przystanęła na drodze pod pałacem M. Karskiego. Spacer po cudownym parku, cienistymi alejami. Moc kwiatów. Róże białe i purpurowe, jak sny dzisiejszej nocy. W ścianie, w framudze Eros i Psyche, w bramie dwa lwy kamienne, śpiące, w śnie czuwające. Świadomość, wśród drzew i kwiatów, w cieniu stylowego pałacu, że jesteśmy niespodziewanymi gośćmi.

O upadku Lwowa dowiedziano się tu jeszcze wczoraj od Moskali.

Po obiedzie, dalej W nocy rozgorzały luno na północnej stronie. Dolatywały pojedyncze strzały: to kawalerya nasza potykała się z strażami tylnymi. Mijały nas wozy z rannymi.

Tak stare, tak nam dobrze znane, a jednak niepowszednie: tyralierka w słońcu, gęstą pszenicą przetykaną bławatem i kępami płonących maków. Na oczach pons ich słoneczny, płamy łąk, skrzących się od barw — tęczy uśmiech, zaklęty czarem jedynej godziny na oczach. Skrós kłębowiska czarnych dymów, żar i spiekotę płonących zabudowań i kopic siana — równą, bajecznie równą linią na grzbiecie, jak na przełęcz, skąd widok w tamtą stronę, w nieznane.

Tyralierka wśród pękających szrapneli na kilka kroków przed oczami, niżej lub wyżej, w świeście kul i jęku czerepów. Tak znany, a jednak niecodzienny szept kulek, bezsilnie spiących się, jakby deszczu jesiennego w parku podmiejskim łkanie —

Pamiętacie? — 24. czerwca — gdyśmy około południa do dochodzili? Coraz głośniejszaj trąkotwały karabiny maszynowe i ogień salwami i paczkami coraz zjadle warczał we wsi. Ułani nasi ratowali wieś, wypierając z niej morderców i podpalaczy. Przed wsią skręciliśmy w lewo, by obejść zabudowania dworskie, rozwinąć się na lewym skrzydle, poprzez atak kawaleryi. Nim doszliśmy na wyznaczone miejsce, głośnie

hura zagrzmiało przed opłotkami: ułani z szablami w garści ruszyli do ataku. Wróg uciekł, pozostawiając wieś całą, rannych i jeńców.



Niedziela w okopach.

Fot. St. Janowski.

Kompania rozwinęła się przed dworem w gęstej, po pas sięgającej pszenicy i ruszyła naprzód, kierując się w stronę płonącego folwarku. Artyleria rosyjska już grzała. Przeszliśmy przez żar i gęsty dym, przez płomienie zabudowań folwarcznych i wypadliśmy na grzbiet. W tej chwili zaczęli w naszą stronę posyłać szrapnele i granaty. Po dwóch salwach doskonale się wstrzelali. Utraciliśmy — szczęście nam sprzyjało — 5 ludzi: 1 zabity, 4 rannych.

Wkopaliliśmy się dość głęboko. Ich przygotowane, odrutowane pozycje ciągnęły się u skraja wielkiego lasu po drugiej stronie doliny, w której płonął

— między nami a nimi. Przed nami i po prawej stronie w różnych miejscach co chwila wybuchały kłębowiska dymów i płomieni. Palili wsie całe, palili dwory i stogi...

O jedenastej zluzowała nas kompania 2 por. Zosika-Tesary. Zeszliśmy w rezerwę batalionową i rozłożyliśmy się na nocleg pod folwarkiem

Przed dziesiątą rano dostaliśmy rozkaz z batalionu: kompania posunie się pod folwark, skąd ruszy zboczem wzgórza 205 (karta 1:75000) jak najbardziej skrycie przed czujnym okiem artylerii rosyjskiej, by dostać się do trójkątnego lasu, około 2 km od oddalonego, na południe od szosy

Porucznik Kukiel wysłał plutony sekcjami w odstępach 200 — 250 kroków w luźnym szyku. Niebawem sekcje zapadły w wysokie żyto. Na wzgórzu, choć przywarliśmy do ziemi jak kuropatwy i posuwaliśmy się na kolanach, nad głowami i obok zaczęły pękać pociski. Byliśmy niewidoczni; któraś z czołowych zapewne sekcji ścigała ten ogień. Wysunęliśmy się na skraj żyta. Przed nami las, ale do niego z 300 kroków po

plaskiej, niczem niezakrytej, doskonale widocznej oraninie. Puściliśmy się biegiem, luźną grupą. Nagle świst i huk z lewej — przed oczyma i nad głową zgrzyt, chichot i dymy szrapneli. Po chwili druga salwa z nad lasu, w twarz. Powolnym krokiem zdążaliśmy, by temu zacerpnąć i znów biegiem poderwać się.

Doskonale strzelali do tak małego, ruchomego celu. Cóż — z nami w słońcu i w skwarze czerwcowym leciało wiernie szczęście. Komuś jedynie podszwę zadrasnęła kulka.

W cichym lesie sosnowym zielonawy mrok i chłód. Sekcje zwolna przybiegały. Przeszliśmy, porucznik, ja i sierżant Hanke na wschodni kraniec lasu i poprzez gałęzie sosenek oglądaliśmy teren pod gdzie kompania miała zająć pozycję. Wobec ogromnej czujności przeciwnika i wobec tego, iż teren był cały odkryty i widoczny jak na dłoni, należało nadzwyczaj ostrożnie podsunąć kompanię, by nie narazić jej na straty. Porucznik wysłał najpierw drobne patroliki. Niebawem otrzymał meldunek, że i ta próba bez strat niemożliwa. Gdy bowiem patrol z trzech ludzi z lasu się wychylił, natychmiast sypnęli szrapnelami doskonale wymierzonymi. Kilku salwami zasypali cały nasz lassek. Huk i świst, trzask gałęzi wokół. Na miejscu zbiórki kompania rzuciła się do kopania dołów. Każdy pod sosną lub chojakiem, rąbiąc bez litości korzenie, rył w żółtym piachu.

Poza lasem upał i żar, pod sklepieniem sosen zaciśnie, mrocznie i chłód. Gdy zmrok zapadł, porucznik wytyczył pozycję dla całego batalionu w przerwie między dwoma pułkami:

Po jedenastej, kompania zajęła wyznaczony odcinek i poczęła kopać rów. W krwawej lunie pożarów przenocowali całą, krótką czerwcową noc.

Słońce wschodziło wielkie, ciemne, przesłonięte zielonawym dymem pogorzeliisk
Cisza na linii.
Nasze okopy dobrze ukryte w życie, albo świetnie za-



Armatka w okopach.

Fot. St. Janowski.

maskowane w koniczynie i na kartofliskach. Chłopcy przemęczeni spali.

Około godziny 8 zaczęła grać po obu stronach arty-

lerya, głównie na lewym skrzydle na odcinku Ogień rósł z każdą chwilą. Salwa leciała za salwą, lub nieprzerwanym łańcuchem pękały pojedyncze strzały z wielu baterij różnego kalibru. Dzika rozmaitość barwy i natężenia dźwięku. Huk wystrzałów i detonacje pocisków po lasach zlewały się w dzwonów jęki i zawodzenia, w ech potężne akordy. Chwilami płynęły dzikie pasaże, bez drżenia, wprawną ręką wygrywane. Artyleria szalała. Upał wzrastał. Niczem niezakryci w dżungli żytniej leżeliśmy nad okopem omdlali, wdychając żar słoneczny i pył z usychającej, delikatnej glinki Nerwy z przemęczenia i upału drżały jak struny.

Sierżant Bur-Tracz z miną dziecka opowiadającego bajki i wyrazem oczu zapewniających o prawdzie fantazyi, przypominał, jak to bywało na początku w czasie „wycieczki” do Kielc i marszu na Radom i Dęblin.

— Pamiętacie? — jak wiara kołnierzyki wyrzucała, mankiety? Jak się wernkle wieszalo na postronku —

pierwsze z nich strzały w dymie i huku zgoła armatnim? W Krzeszowicach na widok tej okrutnej broni chłopcy chcieli wracać, lecz wstyd, zwłaszcza w podarciu cywilnym ubraniu... I te marsze jesienią o chłodzie i głodzie. Nieraz bywało, szukaliśmy karpielei po polach, lub nawet kapusty.

Popołudniu artyleria się uspokoiła. Chłopcy zdążyli oczywiście zapomnieć o przestrojach i zaczęli kręcić się po okopie. Około 6 na fałszywy sygnał „obiad!” ruszyła gromada z menażkami do lasu. W tej chwili kilka pocisków wpadło w nasz odcinek z piekielnym skowytom i chichotem i nad fale żyta wzniosły się czarne obłoczki. Chłopcy nie omieszkali natychmiast wytłumaczyć tego zjawiska, że to japońska amunicja.

Chmurek kilka przeleciała ciemniejszych, proszących rosą. Chłód miłościwie falami zboża wpływał. Po niebie przeczystem leciały białe labędzie ze wschodu na zachód.

Księżycową nocą zesłiliśmy na spoczynek do jakby po ciężkiej na grań jaką strzelistą wycieczce.

Stanisław Falkiewicz.

L. RYDEL: „POZWÓLCIE MALUCZKIM PRZYJŚĆ DO MNIE”

Pogodne przedpołudnie jesienne; przez okna wagonu widać ozłoconą słońcem pagórzystą okolicę Krakowa. Wśród szachownicy pól młodą zielenią grają chłopskie pola wschodzącego żyta odbijające wesoło na tle przyblakłej szarzyzny jesiennej. Pociąg staje w Krzeszowicach. Jesteśmy na miejscu, bo wybraliśmy się na zaproszenie X. Szymbora, Misyonarza, by zwiedzić przytułek dla sierót wojennych, utrzymywany kosztem K. B. K., a mieszczący się w domu wakacyjnym XX. Misyonarzy w Krzeszowicach. Oprócz naszego duchownego amfitryona, jest nas czworo: dwie panie, znane powszechnie z wydatnej działalności dobroczynnej, młody doktor medycyny, b. asystent instytutu Pasteurowskiego w Paryżu i w końcu niżej podpisany, w charakterze reportera „Ilustrowanego Tygodnika Polskiego”.

Ksiądz prowadzi najbliższą drogą ze stacji przez park pałacowy. Zaciekawia nas wszystkich, spora i wcale nie lekka torebka podróżna, którą wytrwale niesie, krocząc na czele. Panie przywiozły sporo łakoci dla biednej dziatwy, oprócz tego mamy do niesienia aparat fotograficzny.

Przecinamy park teraz piękniejszy może niż kiedykolwiek, bo malowany wszystkimi barwami jesieni, oblane słońcem drzewa stoją strojne we wszystkie odcienie złota i czerwieni: jedne palą się kolorem ognistorudym, drugie są jakby obmyte krwią ciepłą, inne jakby liście miały z lśniących, miedzianych blaszek, inne jaśnieją nieprawdopodobnym, cytrynowo żółtym odcieniem na błękitnym niebie; gdzieś tam świerk albo sosna ciemno-zieloną sylwetą rysuje się na tle tych jaskrawych, gorących kolorów.

Mijamy pałac widniejący w głębi parku, na wysokim wzniesieniu. Jak nam ksiądz wyjaśnia — właścicielka zamieniła całe jedno skrzydło na prywatny szpital wojenny, który utrzymuje swoim kosztem. Przed pałacem i w całym parku rozległe i zazwyczaj tak piękne gazony, obsadzone są w tym roku ziemniakami i kapustą.

Partye ślicznych, ogromnych brzoź na skraju parku, potem ścieżka między dwoma parkanami, dalej spora i zajmująca kapliczka, którą zbudował stary sługa do-

mu Potockich i w niej od zagłady uchronił mnóstwo staroświeckich malowideł, ołtarzy, figurek z różnych kościołów; na końcu ścieżyny furtka — i stajemy u celu.

Niewielki ogród, kilka pięknych, cienistych drzew, murowany dom z obszerną werandą na froncie i piętrowym skrzydłem z boku. Pod drzewami na murawie i opodal domu w kręgielni bawią się gromadki dzieci; ubrane bardzo ubogo, ale schludnie, biegają sobie na bosaka, robią placki z piasku, śmieją się szczebiocą. Na widok nasz pierzcha wszystko jak stado spłoszonych wróbli, ale z po za węgła domu i z poza pni wdzierają na nas ciekawe główki. Tylko jeden kilkunastoletni wyrostek siedzi na ławce nieporuszony, zadumany, jakby nas nie widział.



— Biedak, niespełna rozumu — powiada ksiądz — poczem ukazując tajemniczą swą torebkę, dodaje: — Przywiozłem zapasy potrzebne dla nas na obiad; zaniosę do kuchni, państwo zechcą poczekać w ogrodzie...

Dzieciaki, przywabione wołaniem pań, podchodzą

ku nam zrazu nieśmiało; wypytujemy skąd są? gdzie rodzice? jak się tutaj dostały?

Odpowiedzi brzmią różnie: Przeważnie: „Ojciec na wojnie, mama umarła“. Niektóre biedactwa zgubiły się w zamęcie wojennym, nie wiedzą gdzie zostali rodzice.

Tymczasem ksiądz powraca; prowadzi nas do pokoju na piętrze. Przez otwarte okna powódź blasków słonecznych zalewa całe wnętrze, czyste, wesole choć bardzo skromnie urządzone. Na ścianach obrazy świętych, na środku stół przykryty ceratą. Siadamy i zajmujemy się łamaniem czekolady i podziałem łakoci na porce. Sierót jest w tej chwili 51 w Zakładzie. Doktor z jedną z pań idzie do infirmaryi zbadać chore dzieci a Siostra Służebniczka w białym kwefie nakrywa do stołu. Dopiero po obiedzie pójdziemy wszyscy do dzieci, obecnie bowiem starsze są jeszcze w sokole.

Przełożona Służebniczek, zapracowana, pogodna i cicha, opowiada nam „o swoich dzieciakach“ z wyrazem rozrzewniającej miłości. Mówi po prostu, a w każdym słowie czuć serce troskliwe i gorące. Przynosi na rękę małego Antosia. Dwuletni sierotka, już odżywiony i odchuchany jest ulubieńcem Sióstr i dzieci jako najmłodszy z wszystkich. Śmieje się, wyciąga rączki i przywabiony cukierkiem pozwala się brać na kolana i pieścić. Jego matka może w grobie spać spokojnie, temu nie będzie krzywdy!

I nietylko jemu. Po obiedzie schodzimy na dół do dziatwy, która wita nas chóralnie: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus“. Panie rozdają cukierki, czekoladę, pierniki, poczem rozpoczynają się gry zbiorowe, śpiewy a w końcu wychodzimy wszyscy do ogrodu, gdzie po długiej krzątaniu i ustawianiu grupy, do skutku dochodzi jedno i drugie zdjęcie fotograficzne.

Napatrzyłem się tych sierót przez kilka godzin, oglądałem urządzenie zakładu wprawdzie ubogie ale dziw-

nie staranne i czyste; troskliwość największa i najserdeczniejsza nie więcej zdziałać nie może, przynajmniej tymi skąpyimi środkami jakie tutaj są do rozporządzenia. Byliśmy w składzie różnej starzyny uzbieranej dla sierót: istny skarbiec nędzy, która i lachmany zużytkować potrafi. Czego tu niema! Na jednym stosie zużyta bielizna, na drugim wyszarzane podarte ubrania, tam wypelzłe, wyłysiałe resztki futer, ówdzie coś, co ledwie da się określić mianem obuwia. Wszystko to trzeba przerabiać, wylatać, ponaprawiać. Najgorzej z trzewikami: z tych szczątków mało co się oberze, nie dziw, że Siostry frasują się czem obuć na zimę tę gromadkę sierót. Z bielizną i sukienkami byłoby łatwiej, ale tu znowu na przeszkodzie staje brak maszyny do szycia. ręcznym szyciem nastarczyć nie można; maszyna byłaby skarbem nieocenionym dla zakładu.

— A cóż jeszcze, prócz maszyny do szycia byłoby Sioström najniezbędniejsze?

— Blaszkaki do gotowania wody, także wielkie baniaki po kilkadziesiąt litrów każdy — powiada z westchnieniem Siostra Przełożona — nadażyć niemożemy z grzaniem wody naszym dzieciom na kąpiel; zwłaszcza nasze maleństwa muszą być często kąpane...

W ogrodzie tymczasem wre życie i wesołość wśród dziatwy, która po fotografowaniu rozbiega się na wszystkie strony, szczebiocąc i pokrzykując, nad rozbawioną gromadką jak białe motyle migają tu i ówdzie białe kwefy Sióstr, a słońce, zniżone ku zachodowi, kładzie na cały ten obraz pełen ruchu i życia — przedwieczne złote promienie, jakby łagodny, cichy uśmiech jesieni.

W pośród tych drzew, już w pół ogołoconych z liści, wśród igrających dzieci, zda się, że staje świetlana, łaskawa postać błogosławiąca Sioström i ubogiemu ich przytulкови: „Pozwólcie maluczkiem przyjść do mnie!“

WARSZAWA W PIERWSZYCH DNIACH WOJNY.

Ze wszystkich miast w Europie, które miały być objęte zawieruchą walki, Warszawa może najmniej w wojnę wierzyła, najmniej do jej ewentualności wszelakich była przygotowana, najmniej ją przewidzieć i z góry przemyśleć umiała. Wszakże już wtedy, kiedy od rozpoczęcia zatargu austriacko-serbskiego ciężkie chmury właczały się zwolna na horyzont dziejów, lekomyślni Warszawiacy, pełni beztroskiej pogody wewnętrznej, wyjeżdżali na letnie wywczasy. Cała prasa warszawska uważała wówczas za swój święty obowiązek uroczyste wszystkich zapewnić, że wojna europejska jest czemś zgoła niemożliwym.

Dlatego zapewne wojna była dla nas zjawiskiem najzupełniej niespodziewanem!

Dlatego zapewne przyniosła ze sobą tyle zagadek, tyle wrażeń nieprzewidzianych, tyle straszliwych powikłań — chociaż prawie to wszystko, cośmy przeżyli jako najboleśniejszą tragedję narodu „na trzy części rozszarpanego“ było niczem więcej, jak tylko logicznem i koniecznem następstwem warunków, w których naród polski od lat stu z górą się znajdował — było poprostu nieubłaganą konsekwencyą naszego bytu porozbiorowego.

Warszawa nie wierzyła w wojnę — i nawet wtedy, kiedy telegramy doniosły oficjalnie o wypowiedzeniu wojny przez Austryę Serbii, u nas pocieszano się wzajemnie:

— To jest tylko lokalny zatarg, wojna europejska

byłaby w czasach dzisiejszych zjawiskiem tak potwornem, że zatarg ten musi być za wszelką cenę zlokalizowany.

Tegosamego dnia jednak inny nastrój ogarnął Warszawę.

Po dniu pogodnym, upalnym, przesyconym spiekotą słoneczną, nadciągał wieczór pochmurny, bezgwiazdny i ponury. Mocny wiatr zaszumił nagle pomiędzy gałęziami drzew ogrodowych, uderzył ze wściekłością o mury kamienic, wstrząsał oknami, dźwięczał po szybach i bawił się migotaniem świateł ulicznych. Nieprzenikniony płaszcz ciemności opuścił się na całe miasto. Ludzie, którzy wyszli na spacer i zapełnili ogródkowe kawiarnie, uciekali pospiesznie do domów, zaniepokojeni pierwszym pomrukiem nadciągającej burzy. Wtem, jakby na umówiony znak, lunął potokami rześisty deszcz i loskot pierwszego piorunu rozdarł powietrze. Tak przeszła długa chwila. Pioruny uderzały coraz częściej. Stałem wtedy razem z innymi, wtłoczony w ciżbę ludzi pod werandą kawiarni nadświdrzańskiej, na rogu Nowego Świata i Alei Jerozolimskiej. Przy każdej błyskawicy przypominał mi się mimowoli początek epopei sienkiewiczowskiej. Wtem jakiś odgłos charakterystyczny, nigdy nie słyszany przedarł się pomiędzy chlupotaniem strug deszczu i dotarł do naszych uszu. Oto rósł ciągle jakiś turkot potężny, docierał coraz bliżej szcęk żelaza i rzeźkie dudnienie kopyt końskich. Tłum się zakolysał, wstrzymując oddech w piersiach. Wreszcie ja-

kaś masa bezkształtna przeleciała przed nami w migotliwym świetle latarni, pomiędzy czarnymi girlandami liści i skręciwszy prosto w Aleję Jerozolimską, zadudniała po kamiennym bruku gwałtownie, ciężko — zachrząściła spizem i żelazem. Z pod kopyt końskich sygnął się snop iskier, ciemna postać żołnierza pochyliła się naprzód, zadygotały łańcuchy, konie jakby przerażone tym nagłym ruchem, szybko pomknęły naprzód i ukazały naszym oczom spizową, w świetle błyskawic i lamp ulicznych migocącą lawetę armaty.

Kilka pułków artylerii przejechało przed nami. Najpierw działa z jaszczykami, potem tabory, powózki, obozy i oddziały sanitarne. Czasami poświst wichru głużył na chwilę wszystko, potem słychać było znowu miarowy, bezustanny turkot wielkich kół.

Takim było pierwsze zjawisko wojny, jakie zobaczyła Warszawa. Od tej chwili wojna stała się czemś rzeczywistym, dotykalmem.

Tej samej nocy, ledwo uspokoiła się burza, olbrzymi wybuch wstrząsnął powietrzem i przerwał sen wszystkim mieszkańcom. Wielu wypadło na ulicę — nad całym miastem gorzała luna potwornych rozmiarów. Olbrzymi pożar, wzniecony przypadkiem w jednym ze składów wojskowych, szalał z żywiołową siłą aż do białego rana.

Komuż ta pierwsza noc, pełna tajemniczej niepewności, potężna, jak zjawisko żywiołów, nie napelniła serca lękiem i najśmielszą nadzieją zarazem.

— Niech żyje wojna, bo ona przerwała wreszcie ten mur cmentarny, który nas otaczał — pisał w jakiś czas potem pod wrażeniem tych pierwszych chwil Wincenty Rzymowski.

Jeszcze wtedy nie istniały żadne orientacje, spojrzenie w mglistą, niepewną przyszłość, podniecało wszystkie umysły. Mimowoli wierzyliśmy wszyscy, że Polska, że Warszawa musi znaleźć pole do czynów wyjątkowych, samorzutnych. Wszakże ta wojna europejska była już od lat tyłu jedynym marzeniem wszystkich głów zuchwałych, namiętnych i awanturnicznych — wszakże ona jedna była ostatnią rękojmnią, że wystąpimy nareszcie czynnie i samodzielnie na arenie dziejów, że minie wreszcie to głuche milczenie, które przyniatało nas kamieniem grobowym.

Ale to były odruchy, niestety odruchy, pozbawione wszelkiego związku z najbliższą, dotykalmą rzeczywistością.

Warszawa, jak to już poprzednio podkreśliłem, była najzupełniej nieprzygotowana do możliwości wojny. Dlatego zapewne nie mogło wyłonić się odrazu i utrwalić jakiegoś jednolite stanowisko społeczeństwa, dlatego nie można było myśleć chociażby o jakiejś twardej, konsekwentnej taktyce działania biernego, o dobrze umotywowanej, logicznej powściągliwości. Cały ten pierwszy okres nastrojów warszawskich jest niczem innym jak tylko szeregiem instynktownych odruchów, szamotań wewnętrznych, usiłowań nieporadnych, chęci częstokroć sprzecznych. Wszystkie partie polityczne pozbawione swoich wodzów, którzy po największej części



Przemarsz rezerwistów Polaków przez Pragę.

przebywali wówczas za granicą, nie wiedzieli co począć. Zwłaszcza partie konserwatywne tkwiły w zupełnym bezruchu, opuszczając radośnie ręce, do żadnego działania niezdolne.

Niektóre tylko stronnictwa radykalne z wielkim hałasem przystąpiły do narad zasadniczych, próbowały złączyć się w jedno wspólne zrzeszenie, usiłowały przyciągnąć do siebie za wszelką cenę nawet najmniejszej grupki polityczne, których w przeciągu pierwszych tygodni potworzyło się bez liku pod najrozmaitszemi, szumnymi nazwami.

Wreszcie usiłowania owe skończyły się na niczem więcej, jak tylko na dyskusjach jałowych i studenckich sporach nad terminologią partyjną.

To wszystko, co nam niejednokrotnie poczytywano za lisią przebiegłość i chytrą powściągliwość, było bezradnością, brakiem wyrobienia politycznego i solidarności narodowej. Dochodziło już nawet do tego, że partie polityczne o zupełnie wrogich tendencjach, partie, które za chwilę miały zwalczać się namiętnie, zapytywały się wzajemnie przez posłów, dyskretnie ale wyraźnie:

— Co robić?

I nie pochodziło to bynajmniej ze szlachetnej dążności zespolenia się, cementowania Ojczyzny rozbitej na kawalki — ale była to prosta bezradność ludzi, którzy czuli, że coś robić trzeba, ale nic zrobić nie umieli. Jedni chronicznie do czynu niezdolni, drudzy w tej własnej chwili opuszczeni przez swoich przywódców, którym zwykli byli ufać ślepo i bezkrytycznie.

To było powodem, że pierwsza tak zwana „orientacja“ nie przyszła z góry, tylko z dołu i to w tak intensywniej formie, że narzucona żywiołowo przez tłum, zapłodniła na długo umysły wielu polityków i publicystów, dla których stała się jedynym i rzeczywistym źródłem natchnienia, nicią przewodnią w labiryncie rozmyślań nad bytem narodowym. I jeszcze dotychczas żaden z umysłów w tak szczególny sposób „zapytonych“ nie chce zrozumieć, że cała jego działalność jest niczem więcej, jak tylko literacką parodią tego, co było słusznym i sprawiedliwym tylko jako odruch instynktu zbiorowego.

A stało się to natychmiast po pierwszej mobilizacji.

Pamiętam na Pradze pierwsze szeregi rezerwistów, wyruszających na pole bitwy w otoczeniu matek, sióstr, braci, żon i dzieci. Pamiętam zapłakane kobiety z dziećmi, które biegły długo za wojskiem i machały rozpaczliwie chusteczką łzami zroszoną, chociaż już nikt na nie nie patrzył. Pamiętam na Krakowskim Przedmieściu tłumy proletariatu żydowskiego, kobiety w czepcach siedzące długim szeregiem na trotuarze i czekające na rezerwistów żydowskich, których wyprowadzano pod bagnietami z gmachu uniwersyteckiego.

Czyniło to wszystko wrażenie niesłychanie przygnębiające.

ganie się niepewności, to błędzenie myśli skołatanej, która napróżno szukała dla siebie prostej i pewnej drogi. Wieści, które niebawem zaczęły napływać do Warszawy ze Lwowa, artykuły i informacje pism rosyjskich w Galicyi wschodniej obnażyły bezwstydną, azyatycki nacjonalizm Rosyi, który przejawiał się z równą intensywnością, we wszystkich organach myśli politycznej rosyjskiej. Warszawa, która mimo szumnych obietnic „odezwy wielkiego księcia“ napróżno czekała na jakikolwiek namacalny dowód liberalizmu sfer rządzących — patrzyła wzamian za to przerażonemi oczyma na los Lwowa i Galicyi wschodniej.

I tak oto społeczeństwo warszawskie po doświadczeniach i przeżyciach wielu, ujrzało się znowu samotnem, opuszczonem, na słabych tylko siłach swoich polegającym, nieufnem wobec własnych marzeń, podejrzliwem wobec wszystkich obietnic — ale przez to już coraz godniejszym życia i nadziei...

Cały ten okres czasu, to jedno szamotanie się wewnętrzne, to nieświadomość najbliższych celów, to wzma-

Ta niesłychana kampania.



Bezdomni w Warszawie.

w której posługiwano się bronią wszelaką, trwała tak długo, aż wreszcie samo społeczeństwo zaczęło protestować przeciwko ohydzie takiej akcji, aż wreszcie odważne wystąpienia Kazimierza Bartoszewicza, Wincentego Rzymowskiego, Stanisława Thuguta i Cezarego Jellenty kres temu położyły.

Po pierwszych nastrojach niechęć Warszawy i nieufność do Rosyi rosła z dniem każdym, jako odruch żywiołowy, niczem niepowstrzymany. Chociaż w tej samej Warszawie popularną jeszcze była idea zjednoczenia ziem polskich, chociaż nie opuszczała jej ani na chwilę wiara w ostateczny tryumf Rosyi i koalicji — to jednak zwycięstwo to poczęło niebawem ciążyć nad Warszawą jak widmo złowieszcze, jak symbol przyszłej tragedji. Nim jeszcze Warszawa otrząsnęła się z sugestji rosyjskiej, już nawpół świadomie pragnęła, aby rosnąca w naszych oczach megalomania Rosyi została upoko-

rzoną. Warszawa przeczuwała, czem może być zwycięska Rosya. Nie napróżno urzędnicy rosyjscy opowiadali wszystkim:

— Jeśli my pobijemy Niemców, nikt tu nie będzie mówił po polsku!

Warszawa z drżeniem serca czekała na dalszy rozwój wypadków, które wylądowały w postaci ofenzywy generała Hindenburga. Niepokój ściszał wszystkich za gardło, każdy odczuwał, że dzieje się coś niespodziewanego i nieprzewidzianego. Rozpoczęła się walka tytaniczna. Losy wojny były znowu niewiadome i zagadkowe. Warszawa i cały kraj zapadł w letarg oczekiwania. Umilkła prasa — wszyscy nadsluchiwali w milczeniu nadciągającej burzy...

Oto trochę wrażeń bezpośrednich z dni październikowych...

Stanisław Dzikowski.

JULIUSZ KADEN-BANDROWSKI: RDZA.

Mijali wciąż świat nagi, twardy i straszliwy...

Na lasach cisza, śnieg i mróz na krzakach rdza umarłych liści, na drogach strzępy, strzępy, strzępy...

Dniami, nocami waliło tędy wszelakie żelaziu, odzież, mienie i jadlo... Dniami, nocami maszyny, wozy, ludzie, strzępy i strzępy...

Na lasach cisza i śnieg, kości białe po dołach, czarne gałęzie nad drogą, przy ścieżce krucha rdza, na drodze ciągnął marsz, — na świecie śmierć.

A oni wszyscy, a my wszyscy, mundury, — z jednego dywana, z jednego sztofu strzępy wydarte... Wiatr nas żenie temi drogami, polski wichur od gór w dół na niziny popędza...

Właściwie nic nie było słycać, ani tego wiatru, co pierś sobie rozdyma i na lasach ją szarpie... Ani tej wilgoci roztaraszonej, ani chrobotu kół, ani żelastwa, ani hałas podkutyh nóg, tylko to jedno jedyne: Młoty we skroniach, młoty przed oczyma i czarne skrzydła nad głową... Jedno serce ogromne, poczerniałe w srogim wysiłku...

W srogim wysiłku, od którego łamie się cały świat i tak chrzęści, waży, tak się mociuje i zmagają...

Aż nareszcie przyszli pod one bełty huczące, jęczące suche a płynne, znikome a widome, swoje a straszne, — pod samą bitwę... Bełty ciszą zdradliwie, krzykiem prawdziwe, zaprawne śmiercią i raną... Przetoczone po całej ziemi, po wszystkich niebiosach i wszystkich piersiach...

Tak się Sobczykowi wydawało, a nie inaczej.

Jakowyś sos czarny, jadowity jak ze złych grzybów, przelewa się tędy i siędy...

A wraz zapatrywał się w złoty, umarły listek na białej brzoźce i słuchał tego sensu: Nic, jeno wieczór przekłuty w dali krótkimi błyskami salw armatnich...

Armatnie ciężkie głosy u spodu, niczem huśtawa straszliwa, a na nich drobienie skore, różne...

Teraz karabin maszynowy... Szczeka, szczeka równiutko, a Sobczykowi brzoźka z przed oczu znika i widzi, — jak przez wodę siwą pies czarny zamasyście płynie, łapami wartko po wodzie bije...

Teraz piechota...

Koło uszu się przedą nici syczące, drzewa krzyknęły: Ach — ach!

Coś się pruje — spruć się nie może, jedne za drugimi łamią się tysiące kosteczek, — a dech z piersi Sobczyka ucieka... Dech jego rozsnuwa się wolno po igliwiu leśnej podściółki, zbratał się z szarym zakrę-

tem mgły, — opada — a w piersi otwierają się piętra ogromne...

Piętra domu, gdzie pracował jako murarz przed wojną, niedokończone, pachnące chłodem i wapnem...

I to, jak biegli po rusztowaniu we czterech, gdy przyszedł telegram od Piłsudskiego... I to, że szkoda, że tego nikt nie wymalował, jak biegli w fartuchach po giętych deskach, aż chmura się podniosła... A trzeba by jeszcze domalować Polskę na czele, w płaszczu, z gronostajami, z koncertem w rękę...

Gęsta bladeś wieczoru legła nad pagórkami.

Batalion ruszył naprzód, na front. Szedłem naprzeciw tej kolumny, szukając baterji.

Mijaliśmy się wzajem, oni i ja, — mój Boże — któż to opisał!...

Mur takby kroczył, tak stąpa trzoda na stronicach Ewangelisty, tak dążą Święci i śmierć tak podchodzi codzienna, tak kroczy przez polski las powszedni obowiązek walki...

Szare, jakby w piaskowcu kute twarze miały jedna za drugą, ciemne płaszcze roztapiały się we mgle. Wśród szczyku żelastwa, kroku stóp i chrupotania gałęzi słycać było głęboki oddech ludzi idących.

W oddechu tym zasłuchać i pogrążyć się można jak w toni nieskończonej, jak w Nieskończoności samej...

Stanąłem z boku, aby oddział przepuścić.

Spostrzegłem na skraju przedostatniej czwórki Sobczyka. Szedł z głową naprzód podaną od ciężaru plecaka. Twarz jego ciemniejsza od innych ledwo wydzielala się z mroku. Pod zrosniętymi brwiami palił się blask czarnych oczu. Wąskie, zaciśnięte usta, podobne do fioletowej blizny rozciągnęły się nagle w dziwnym uśmiechu.

Napiszcie o mnie jakąś historję, obywatelu, — zawołał mijając mnie. I wyciągnął rękę wdzięcznym, dziecinnym ruchem, jakby w sklepionej dłoni podawał krzynę wody.

— Ma się rozumieć, — zawołałem spłoszony nagle, — napisz o was!

Jakiś malunek, jakie pisanie, jaka historia należy się Sobczykowi — myślałem, gdy przemijając zdaje się w dłoni dziecinnie sklepionej podawać drogocenną krzynę bezwiednej sławy swej?...

Walczyliśmy tam pod Łowczówkiem cztery dni i cztery noce. Był to bój tak srogi i okrutny, że zda się.

zapomniało się cel jego i przyczynę... Że zapomniało się jego początek i rachubę...

Szedł czas ryczący ogniem, tchnący śmiercią, znaczony stratą najbliższych. W okopach raz wraz rwanym pociskiem, wśród kupy ściętych gałęzi, poharatanych ludzi, złamanego oręża...

W słońcu, jak w złotym nieprzytomnym uśmiechu... Wśród tajania śniegu na krwawą ściółkę liści, — jak wśród lez anielskich... W nocy oszalałej, wśród ciężkich chmur pędzącego ołowiu, w nocy przemienionej na ryk... Na ziemi, z której nagle dusza ucieknie, bo napiera tu, wciska się, wnika ziemia inna, szara...

Gdy trafisz jej grudę, broczy ludzką krwią, ale grudy ciężkimi zlepanami się toczą... Piechota rosyjska jak wyspany grunt — toczy się, sypie na ziemię naszą...

Cofaliśmy się ku drugiej linii obronnej. Z obu stron chałupy po wydmuchach owianych mgłą, jak w widzeniu sennem przebiegali schyleni żołnierze, raz wraz przynikając do roli. Jakby niematerialne istoty, raczej cienie, zjawy, wykwitające z ugoru, z lasu, wynikłe z krzewów rudych i zwiewnym łańcuchem wplecione w opar i w mgłę...

Wolać głośno nie warto, a trzeba przecie skrzyknąć taki huk.

Na głębokich dnach tego huku pławi się w śmiechu jasnym radość szalona, radość walki...

Wolać głośno nie warto a trzeba przecie skrzyknąć wszystkich łączników-ordynansów, chata już pusta... Sztab wychodzi, oficerowie z rewolwerami w rękę.

Przetrząsnąłem całą izbę, czy się gdzie nie zawieruszył jakiś meldunek, kartka, papier niepotrzebny. Potem wylazłem na strych, czy nie został tam jakiś ordynans śpiący w sianie.

Śnieg białą rzęsą wkradał się przez szczelinę w dachu i prószył na zeszywniałe w kącie szmaty krwawe.

Nagle przeciąg wytlukł wszystkie szyby. Z szklanym szlochem runęły na klepisko i od tej chwili w chałupie wszystko poczęło tańczyć i latać.

Przeszukawszy stajnię skoczyłem jeszcze za węgiel zobaczyć w słomie i ściółce z dębowych liści ukrytej pod małym daszkiem, czy ktoś nie został.

Na rdzawych liściach, jakby wśród szeroko rozlanej skrzepłej krwi, leżał na wznak nasz strzelec z rękami na piersiach skrzyżowanymi, sztywny i prosty, niczem posąg niebieski na starem złocie jesieni złożony...

— Hej, hej, — skoczyłem ku niemu — wstawajcie obywatelu, cofamy się, wstawajcie!

Porwałem go za rękę, lecz zimne były i kurczowo zaciśnięte na karabinie, który tulił do piersi.

Czy trup?

— Kolego! — wrzeszczałem mu do ucha — wstawajcie! Odmarsz! Idziemy!

Kule szły gęsto po poszyciu dachu, z chałupy niosło się trzaskanie nieprzytomnych wrót i szloch szyb.

Widać święte obrazy ze ścian lecą z tym płaczem. Ekrazytówki pękały w belkach i na podwórku obejścia.

We mgłę, po obu stronach, duchy szare, niebieskie, ostatnie przypadają do ziemi.

— Rozkaz!! — krzyknąłem.

Był to Sobczyk.

Dopiero gdy popatrzył na mnie spostrzegłem, jak martwym jest jego oblicze. Zaczął bełkotać coś, z widocznym trudem szukając słów...

Nie drgnął, niby na sztandarze spłowiłym na owej rdzy leżący, — tylko oczy otworzył straszliwe, ogromne, puste.

— Wszystko się cofa! Marsz za mną!

Wtedy nagle twarz jego zdrętwiała w surowym uciśku, a oczy zaprzedły się nieskończonym oddaleniem.

— Mam karabin!... Mnie tu Piłsudski postawił na straży!... Ja — straż!

— Komedye! Urznięliście się?! — Porwałem go oburącz za kark.

Usiadł.

— No chodźcie Sobczyk — najdzielniejsze wojsko się cofa, gdy musi. Zresztą co ja tu będę z wami, — marsz, — za mną!

Skoczył, uderzywszy się o pułap, runął na liście, znów się podniósł i stanął na baczność przed chałupą.

— Mnie tu Piłsudski na straży postawił, — mam karabin...

— Wszystko już odeszło! Sobczyk musicie mnie słuchać! Jest rozkaz!!

Jedną ręką przytulił mocniej do piersi karabin, drugą, ku piekielnej zawierusze strzałów podniósł naiwnie sklepioną, jak dzieci, gdy krople deszczu w dłonie łapią...

— Grad pada — zadziwił się beźmiernie... — Grad... Będzie burza...

We mgłę zniknęli ostatni żołnierze.

— Marsz! Marsz!!

Sobczyk uniósł karabin do pozycyi...

— Mnie tu Piłsudski postawił. Mam karabin, — jam straż!... Mnie tu Piłsudski postawił...

— Sobczyk tyś waryat!!!

Zastanowił się i wyciągnawszy zmarzniętą rękę jakby w muszlę złożoną ku okropnej burzy strzałów — : Grad idzie, będzie burza...

Na tle wrót w huku salw i rzucanych przeciągiem sprzętów spokojny i kamienny z oczyma wlepionymi w mgłę, w siwym mundurze, do którego przylepłe liście dębowe błyszczwały jak krwawe płomienie — wyglądał niczem duch, widmo, potępieniec, — straszny pokutnik płamami rdzy przeżarty.

— Będzie burza... — Jam straż...

Zamierzył się bagnetem. Wyrwałem mu z rąk karabin.

Wówczas nagle oczy Sobczyka zgasły, twarz przysła w tysiącu zmarszczek — : Oddaj mi! Oddaj!!

Rozplakał się nieprzytomnie.

Oglądając się na niego, poczęłem iść pod górę ku naszemu szeregowi. Sobczyk błady, z szalonymi jak pożar oczyma, dążył za mną...

Poczęłem biedz.

Biegł za mną szybko, ślizgając się w glinie, zaś zwiędłe, dębowe liście padały z mundurku jego na ziemię, jak krwawe lzy ogromne, jak żywe rany...

P R Z E G L Ą D.

Z WYSTAWY TOW. PRZYJ. SZTUK PIĘKNYCH.

Na wprost drzwi wchodowych obraz, wprowadzający do-
raznie w obszar snu: Dante Jacka Malczewskiego.
Wizya poety obłąkanego nawałnicą mar sprzegła się z wi-
zyą malarza, któremu oczy wyteżone zaległa niepozbycie
bezprzestanność zjawy. Burza widm, przeciągająca na obra-
zie Malczewskiego nad Dantem i Wergilim, ma tę plastykę
zdumiewająco wypukłą, tę posagową wprost muskula-
turę, z jaką się rzeźbi zjawiskowe theatrum piekła Komedyi
Boskiej. A mimo to, tak na obrazie jak na poemacie, zacią-
gnięta jest mgła tajemnicza, czar snu i poblask nierzeczy-
wistości.

W świat nierzeczywisty również przesuwają się pomysły
Vlastimila Hofmanna, reprezentowanego szeregiem
wielkich płócien, obejmujących przestrzeń lat paru i pozwa-
lających po przyłączeniu do nich dorobku doby ostatniej,
wysłedzić linię rozwojową tego śmiałego, w cel wysoki
zapatrzono artysty. Na owych wielkich płótnach urok
ślicznego sentymentu, w którym jest coś ze słodczy pre-
rafaelitów i z rzewnych nut słowiańskich, boryka się je-
szcze z formą, zakrojoną na wielkie rozmiary, usiłującą opa-
nować przestrzeń — z rezultatem tutaj jeszcze niecałko-
witym. Uczucie nie stopiło się jeszcze ostatecznie z formą,
stawianą mocno, ale sztywnie, jeszcze się tutaj znajduje
nieożywiona przestrzeń, kształty martwe, obojętne. Zato
obrazy Hofmanna z doby ostatniej, mniejsze rozmiarami,
a silne skupieniem myśli panującej nad formą, krystalizu-
jącą się w przepyszność konturu, mówią przekonująco
o mistrzowskich aspiracjach ręki, która znajduje wielką li-
nię dla wielkiego uczucia.

W dziedzinie akwareli daje Julian Fałat, jak zaw-
sze, dzieła sztuki nieprzewyższonego, a jego „Powódź“
wykwintem zwiewnych pociągnięć, przesyconych bajecz-
nym wprost wdziękiem dyskretnie stonowanych barw, jest
arcydziełem w tym rodzaju trudnym, a nieefektywnym. —
Portrety Axentowicza pyszną się wirtuozostwem
formy, arystokratycznej w swem subtelnym przerafinowa-
niu, mającej tę jakąś polotną rozpięchłość, dzięki której
przedziwne główki portretów mają coś w sobie ze snu,
z rzeczy odzwierciedlających się w fali wodnej. Zbiorowa
wystawa prac Augustynowicza ujawnia szeroką
skalę artysty, którego pejzaże są wyrazem głębokich wczu-
wań się w tajniki barw i światłocienia, (nadewszystko
z upodobaniem wystudowany motyw śniegu), a którego na
plan pierwszy wysuwająca się kompozycja „Wdowy“ działa
silnie zwiążą ekspresją nastroju, zamkniętego w pysznym
układzie figur, w suggestywnym efekcie narzucającej się
czerni żalobnej.

Typy góralskie Rembowskiego obrysowane linią,
która ma coś z fantastyczności rysunku dekoracyjnego,
przemawiają siłą wyrazu, skupionego w oczach niebywale,
przenikająco wymownych. We „Fragmenty kościoła Ma-
ryackiego“ włożył Kamocki cały żywiołowy rozmach
swojej bujnej, tężyzną mocnych barw władającej plastyki.
Rychter-Janowska barwną różnorodność niewielkich
formatem pejzażów okraśliła nalotem fantazyi, przeświebla-
jącej grą wizyonerskich tonów wykrawki przyrody, prze-
mienione za jej sprawą w samodzielne całości kompozy-
cyjne. Krasnowolski w twardą cokolwiek fakturę tła
i obrysów postaci potrafił teńną dobitną oczywistość du-
chowego wyrazu. Z małych pejzażyków Tetmajerów-
nej przemawia serdeczne zbratanie się z duszą swojskich,
subtelnie odczuty motywów. Wreszcie kwiaty, kwiatów
bez liku, wszystkie sale przepelnione tym rodzajem malar-

stwa efektywnym i zawsze popularnym. Kwiaty Modze-
lewskiej żyją wprost na płótnie; „Rysy“ Tymona
Niesiołowskiego mają koloryt widmowy, charakte-
rystyczny dla tego artysty, który żył kiedyś w świecie
groteskowych wizyi, mającą niesamowicie jakoś w obra-
mieniu rozchwiejnych konturów. Inny Niesiołowski,
Stanisław, maluje róże we wszystkich odcieniach, osią-
gając subtelne efekty umiejętnem szarmonizowaniem pół-
tonów barwnych z tłem. Przeciwnie Stasiak, przeja-
skrawia cokolwiek kolorystyczny efekt swych malowniczych
płócien o charakterze dekoracyjnym. „Róże“ Fabiań-
skiego, kwiaty Pochwalskiego i Knausowej
dopełniają szeregu usiłowań, utrwalających tajemni-
cze bytowanie kwiatu. Oprócz tego są prace Turka, Hirona,
Bartkowskiego, Rzegocińskiego, Markowicza, Bienkiewicza,
Domańskiego, Pieniązka, Szemplińskiej.

W dziedzinie rzeźby portret Solskiego jest jednym z tych
momentów twórczości Dunikowskiego, w którym na-
tehniona siła jego porywającego natchnienia wraz z osta-
tecznym owładnięciem formą, dała dzieło urastające w sym-
bol: to już nie ten, a nie inny, człowiek, zakłęty został
w rzeźbiarski kształt, olśniewający brawurą pyszniącego się
sobą mistrzostwa, ale cała wielka sztuka dramatyczna
w tragicznym patosie w nim się unieruchomiła. Rzeźbione
głowy kobiece przesubtelnił Szczepkowski finezyą,
tak trudną do osiągnięcia w surowej bryle marmuru, wła-
ściwą raczej malarstwu, zamknął je w płaszczyźnie, prze-
duchowione — zda się — światłem, dające jakoby złude
płam barwnych. „Chopin“ Ostrowskiego o pojęty jest ze
strony owego czaru zmysłowego, którym dyszą jego ma-
zurki i nokturny. Nieskończone zamarczenie wciągniętych
w głąb oczu zlewa blask zachwycenia na twarz, skompono-
waną mocno i wybornie. Również Getter zwycięsko opa-
nował trudny problem głowy Beethovena, tej głowy, za-
przepaszczony nieśmiertelnie w otchłaniach natchnienia.
Wogóle rzeźba prezentuje się na obecnej wystawie wyjąt-
kowo licznie. Prócz wymienionych przynosi dzieła Madey-
skiego, Chmielińskiego, Kwileckiego, Marcinkowskiego, Ru-
żańskiego, Rożka.

Adam Znamirowski.

Z BOJÓW BRYGADY PIŁSUDSKIEGO.

Pod tym tytułem wyszła nakładem M. Baranowskiego,
czcionkami Drukarni Ludowej w Krakowie, publikacja, za-
wierająca artykuły Gustawa Daniłowskiego, Adama Do-
brodzickiego i Wacława Sieroszewskiego. Pierwszy, w dwóch
szkicach opowiada o wstępnym okresie dziejów Brygady,
o tej „majówce kieleckiej“, w której młody ochotnik wy-
rabił się na żołnierza. Drugi zdaje sprawę z dalszych, wię-
kszych już bitew, jak Łowczówek i walki w Sandomier-
skiem, w których legionista okazał się niegorszym od naj-
lepszego żołnierza regularnego, a komendanci dowiedli, że
niekoniecznie trzeba ukończyć akademię wojskową, żeby
być dobrym oficerem. Czcigodny adjutant Beliny, Wacław
Sieroszewski, kreśli historię swego oddziału od nikłych
zaczątków, kiedy jazda Piłsudskiego liczyła siedmiu ludzi
i pięć koni, aż do rozrostu w dywizyon. Prócz tego są
w książce trzy prace anonimowe (Laski, Krzywopłoty, Pod-
hale) i dziennik działań bojowych Brygady od początku —
do 25. maja.

Wszystko to, wraz z zamieszczoną na końcu mapką, bę-
dzie dla współczesników miłym wspomnieniem, dla przy-
szłego badacza cennym źródłem, dzisiejszy zaś laik zainte-
resuje się zapewne kilkadziesiąt bardzo dobrimi fotogra-
fiami, stanowiącymi prawdziwą ozdobę publikacji.

Z TEATRU.

Nazajutrz po premierze farsy bulwarowej czytamy: „akcyi krotoczwili niepodobna streścić: zamęt ten przyprawia formalnie o zawrót głowy“. Jest to wyznanie upokarzające: miażdży inteligencya krytyka byc mniej wytrzymała od zlekceważonej umysłowości farceura, który wirowisko to potrafił złożyć w kompozycyę? Spróbujmy spłot ten rozwiązać. Po pierwsze: jest clou czyli gwoździak, na którym pp. Tristan Bernard z Athisem lub Gavaultem, Hennequin z Bilo lub Veberem zawieszają ostatnią z sensacyi dnia, dernier cri sezonu; w tempie wyścigowem luzują się: wczoraj jeszcze wagon sypialny, automobil, okultyzm lub jupes-culottes, dziś football, aeroplan, kubizm, boxe, furlana i bergsonizm, jutro zapewne sujets tak gruntownie ośmieszone, jak zbratanie narodów, konferencya hagska, prawo międzynarodowe lub nagroda Nobla za propagandę pokoju. Sprawy te rodzą się i umierają, jak jętki jednodniówki; dla przykładu: „Panna służąca“ ma cerę jeszcze świeżą: porzuciona amoureuse pozuje tu na opiekuńczą Hestę u domowego ogniska wiarołomcy, Manon Lescaut w roli matki Grakchów, słowem, nastroj z przedednia wojny, dokument etycznego odrodzenia Francji z idei rewanzu, kartka wyrwana z książki Agathona: „Les jeunes gens d'aujourd'hui“ zamach rojalistyczny, intryga klerykalizmu. Jeszcze aktualniejszą jest „szalona dziewczyna“: demoluje bowiem biuro prezydyalne w „ministerjum amunicyi“, bajecznie krotofilnej kreacyi mr. Poincarégo, gdzie w piętnastym miesiącu wojny preparuje się nowe połączenia ekrazytu czyli mustardę po obiedzie (esprit d'escalier!). Ale „Mąż dwu żon“: trzęsienie ziemi na Martynie, lysoform i emulcycyę kobiet. Jakżeż zdoła nadażyć tej galopadzie sensacyi jubilatka scen europejskich, farsa Labiche'a, niepozabawiona wdzięku mozaika głupstwa, ale wysprzedająca bądź co bądź retrospektywne aktualności z czasów cesarskiej Eugenii: polowanie na zięciów, aranżowane z rozbrajającą naiwnością środków, jours-fix, wiatraczek na kominku i kapelusz słomkowy.

Powtórę: są figury, które zamiast charakterów mają etykiety; jest to narodowa spuścizna sceny pseudoklasyycznej, która w mileżącej konwencji z dworem Ludwika XIV. zgodziła się na umowne typy komedyowe, zbudowane na przeroście jednego rysu zasadniczego, zubożone o całe logactwo indywidualności; z tychto wersalskich tartuffów, mizantropów i skąpców wywodzi ród swój vitiosior progenies błazeńska: starowina weredyk-kolekcyoner botaniczny, lekkoduch-os'ol Buridana, postawiony między dwoma złobami, pełnymi fortun i wdzięków panieńskich, egzotyczny wujaszek z Gwadelupy, amator patata i pieprzu z wyspy św. Gorduli, wstydlivy siostrzeniec, co nie umie tańczyć bambuli, rozczochrany parnasista, którego Muza ogłusza się hukiem puzonów i bierze injekcyę z światła księżycowego — słowem rozmaitość motywów, dziwnie przypominająca charakterystykę, jaką ceniony poeta polski wypisał z koleżeńską życzliwością o bratnim poszukiwaczu absolutu: „chropawy ten bękart makaronizmu tańczy pawianowy danse du ventre, jak zulus z drewnianem kółkiem w nosie, w kąpielowych spodenkach z Biarritz, w dziurawym, wysokim kapeluszu od Léona w Paryżu, z kołnierzykiem i kolorowym gorsem bez koszuli z Londynu, w sabotach hebrajskiego proroka, z szerpentyną Zagłoby na rapciach z japońskich kutasów, w rękawiczkach koloru byczej krwi z Berlina, od czasu do czasu polykając włoski sztylet lub stearynową świecę Apollo“. Po trzecie: kalambury słow-

wne i sytuacyjne, trójznaczniki źródłosłowne i finezyze dyałogowe, ile możności nie dające się powtórzyć. Po c z w a r t e: t. zw. zawikłanie, nieporozumienie, qui pro quo, harakiri psychologiczne, wyścig nieprawdopodobieństw, pędzący z chyżością 1000 nonsensów na godzinę.

Analiza ta jest ułomną: odsłania tajemnicę Poliszynela na jednej płaszczyźnie, bez perspektywy, że tak powiem, historycznej. Między „Polowaniem na zięciów“ Labiche'a a „Szaloną dziewczyną“ Gavaulta leży bowiem półwiekowy okres „rozwoju“ od zmierzchu drugiego cesarstwa do zmierzchu trzeciej republiki; elementy nowej farsy tkwią tam w stanie ledwo zarodkowym, osędziacie patyną empiru, która zdaje się chwilami stylizować rzeczy bez znaczenia. Ale jest to złudzenie, patos dystansu, urok młodości w oczach starszej generacyi liwerantów feletonowych, przechodzących w stan spoczynku. Jakkolwiek więc między Labichem a Gavaultem leży bogata droga przemian, kłopotać się nimi i dzielić je na okresy dzisiaj wobec grozy ponownego podniesienia cen maksymalnych artykułów spożywczych byłoby lekkomyślnością trudną do darowania. Złożyć więc co prędzej rozebrany mechanizm, puścić w ruch i podnieść kurtynę! Półcyrkowe łamańce logiczne wykonują par force i z brawurą panowie: Leszczyński, Grabowski i Szymborski; pointy uczuciowo-konwersacyjne chwytają w lot panie: Kamińska, Jarszewska i Słubicka. P. Bończa w drobniagach nawet ma ton charakterystyczny wielkiego stylu, a p. Noskowski ową dobroduszną frasobliwość cierpiętników farsowych, o których gdzieś zauważono, że znoszą swoje przygody, jak się znosi ulewę, nie mając parasła. A imieniem zespołu kobiecego wogóle niechże legion pp. Gąsiorowskiego i Styki poskarży maitre Poiretowi, nad brzegiem Aisny przelewającemu krew za monopol paryskiej konfekcyi damskiej, że póki publiczność nie oswoi się z myślą podwyższenia cen wstępu, próżno żądać od pań tej sceny, by z prawdopodobieństwem choćby aproksymatywnem dobrały modele jego magazynów. Zespół, jak zwykle, za mało intenzywny, tempo dwa razy za powolne. Ale widownia bawi się doskonale. A krytyk, wypisawszy kiedyś swoją diatrybę o roli teatru, jako narodowej świątyni, z rezygnacyą daje się ponosić salwom wesołości, melancholizując w przestankach: daremno szukać głębi Danta, logiki Kartezjusza czy purytanizmu Kwaków, gdzie ideą jest clou, charakterem monomania, humorem dwuznacznik, a życiem nieporozumienie. Wiele czasu i krwi upłynie, zanim nad salą tą zawładnie boskie czarodziejstwo Sztuki. I na nic się nie przyda strofować tu kogokolwiek. Artyści ci grają, co żąda widownia, a tłum ten cierpi zbyt wiele, by mógł odpowiadać za to, co czyni. Czy w śmiechu jest czy w żalobie, zbiorowa jego dusza chodzi jak w transie, w gorączkowym śnie wojny. Obudzi się z niego kiedyś, może już niebawem, i stanie się wówczas z nią, jak dzieje się z tym ciężko rannym, gdy po miesiącach udreki i obłądu obudzi się nagle bezpiecznym w miłosiiernej pościeli szpitala: wszystkie śluzы uczuciowego życia, zbyt długo hamowane bezlitosną pięścią przerażenia, pękają z nagłą, głucha, niewypłakana męka wybucha gejzerem łez, długim, nieutulonym szlochem wyzwolenia. Zapłaćcie taksamo tłum ten kiedyś, ocknięty ze snu wojny, załka szlochom zbiorowemu narodowej duszy: wyzwalającym głosem Poezyi. Upadną lzy te w bezcenne łzawnice natchnienia i wówczas to dopiero w tej sali, po gorzkich miesiącach tępego milczenia i somnabulicznych śmiechów rozegra się znowu apollinowa zjawia Arcydziała.

Tadeusz Świątek.